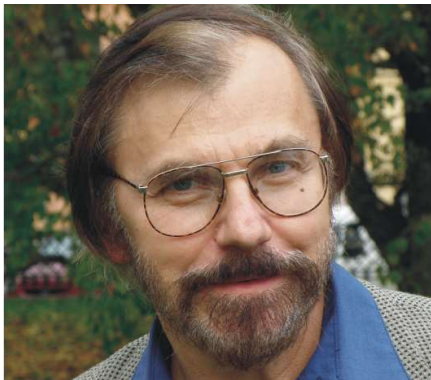


Listy do Pani A. (113)



Nie mogło być lepiej

Droga Pani!

W tym roku Warszawska Jesień Poezji miała charakter szczątkowy. Nie licząc kilku spotkań w szkołach, „centralna” uroczystość trwała zaledwie kilka godzin. Kiedyś to rzeczywiście był całą gębą festiwal, istniało nawet specjalne biuro koordynujące trwające niemal przez tydzień imprezy.

Miałem teraz dwa spotkania w szkołach. Młodzież jest wspaniała, ma poczucie humoru, interesuje się poezją, a przynajmniej stwarza takie wrażenie.

W jednej ze szkół (nie powiem Pani w której) przed spotkaniem odwiedziłem toaletę. Była przerwa, stała tam grupa chłopców. Już wychodziłem, kiedy do pomieszczenia wpadł z impetem uczeń z gromkim okrzykiem: „kurrwaaa!” Zauważył mnie, i w tym momencie zapadła cisza, chłopak znieruchomiał. Może wziął mnie za nowego nauczyciela, albo wizytatora. A ja, ku ogólnej (i własnej) wesołości, uzupełniłem: „maaa”. Muszę wyznać, że w tym roku na WJP była to dla mnie chwila najweselsza i w końcu najbardziej poetycka.

Dostałem od Marka Wawrzkiwicza jubileuszową książkę „Mogło być gorzej. Marek Wawrzkiwicz 80” zredagowaną przez Agnieszkę Tomczyszyn-Harasyłowicz, Jana Cichońskiego i Andrzeja Żora. Książka składa się z tekstów dedykowanych Jubilatowi, wywiadów z Nim, esejów o Jego twórczości; kilku szkiców literackich pióra samego Marka. Ale najbardziej poruszył mnie, i wprowadził w nastrój nostalgiczny, pierwszy rozdział „Zamiast autobiografii”, w którym Marek Wawrzkiwicz przywołuje lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte, wspomina ludzi, których już nie ma, a których i ja znałem: Piotra Kuncewicza, Nikosa Chadzinikolau, Tadeusza Chrościelewskiego, Tadeusza Śliwiaka, Jerzego Zagórskiego, Stanisława Grochowiaka, Jana Himilsbacha, Jerzego Putramenta, Wojciecha Żukrowskiego, Romana Śliwonika, Wojciecha Siemiona, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Zbigniewa Jerzyńskiego, Ryszarda Ulickiego, Henryka Czyża... Tych nazwisk się nie zliczy,

wciąż ich przybywa, także wspomnień jest coraz więcej. Uświadomiłem sobie, jak wiele zostało poza mną; jak to wszystko się skurczyło. *Mignęło. Jak zaokienny pejzaż w wagonie metra: / Ciemność, rozblyski światła, strzępy uczuć, / Zamazane twarze, fragmenty sylwetek, zmierzchające / Smaki i dźwięki. Podróż w stronę ciszy* – jak napisał Marek Wawrzkiwicz w wierszu „Mignęło”, zamieszczonym na czwartej stronie okładki.

Powyzszy akapit bardziej by pasował do numeru listopadowego „Gazety...”, ale listy do Pani są uwarunkowane cyklem wydawniczym. To, co aktualnie się dzieje, co mnie porusza, śmieszy, boli, od razu opisuję, a gazeta rzęzi się swoimi prawami. Ale nic w tym jeszcze osobliwego, że jesień przywołuje się akurat w zimie.

Potem, na zaproszenie Beaty Anny Symoń, odwiedziłem Kraków. Zaczął mnie ostatnio przerażać. Oczywiście nie centrum, ale jego obrzeża. Arterie, nowe „szklane domy”, estakady, ruch, przestrzenie, by nie powiedzieć: pustkowia. Natomiast bardzo lubię poruszać się po Starym Mieście. Rynek, Grodzka, Kazimierz, wszystkie dawne ulice i uliczki – to moje miasto. Uważałem kiedyś, że poza rodzinną Warszawą mógłbym ewentualnie mieszkać w Krakowie. Ale teraz się zmienił. Nawet dworzec, zupełnie nowy, połączony z galerią handlową, budzi we mnie zdecydowaną niechęć. To jakieś ciało obce w tkance miasta.

Wysiadłem z autobusu na kilkupoziomym dworcu. Informacji żadnej, nie wiadomo w którą stronę się udać, jak wyjść na ulicę. Po prostu zgubiłem się. Wreszcie metodą prób i błędów znalazłem się w galerii handlowej i wreszcie wyszedłem na Pawią. Tam już przywitał mnie znany, ciepły Kraków.

Spotkanie w restauracji „Pod Katarynką” miało się zacząć dopiero o dziewiętnastej, miałem więc dużo czasu. Poszedłem sobie spacerkiem na Brzozową, obejrzeć lokal. Wszedłem do środka, zacząłem się rozglądać, przeczytałem plakat anonsujący moje spotkanie. W pewnym momencie z zaplecza wyszedł miły pan i zaczął zapraszać mnie na wieczór poety w Warszawie, a jeśli sam piszę, to mogę przyjść na spotkanie dla próbujących swoich sił w poezji. Kiedy już wychodziłem, uścisnęliśmy sobie dłonie, a ja powiedziałem, stojąc tuż obok plakatu: „Stefan Jurkowski jestem”. Zaczęliśmy się serdecznie śmiać. Ów pan to był Marek Cichoń właściciel lokalu, człowiek o artystycznej duszy, muzyk, przyjaciel twórców.

Potem spacerowałem po moim ulubionym Krakowie, aż wreszcie nadszedł wyczekiwany moment. Znowu znalazłem się „Pod Katarynką”, i przyszła Beata Anna Symoń, uroczą pani, świetnie prowadząca poetyckie wieczory i w „Katarynce”, i w Dworcu Białoprądnickim, i w wielu innych miejscach. Wielka wrażliwość, piękny głos, uroda, znajomość poezji, poczucie humoru pozwalają jej na tworzenie niepowtarzalnej atmosfery. Odpowiadałem więc – zainspirowany przez Beatę Annę – na pytania, czytałem wiersze, opowiadałem o sobie.

Śpiewał Włodek Stockman, co stanowiło świetne przerwunki muzyczne. Bardzo cieszyłem się, kiedy na sali zobaczyłem poetki: Joasię Rzdokiewicz, Irenę Kaczmarczyk, Dorotę Lorenowicz... Szczególnie wzruszyła mnie Joanna Rzdokiewicz, która przyszła do „Katarynki” pomimo niedogodności i dolegliwości zdrowotnych. Oczywiście był Marek Cichoń oraz jego małżonka Wioletta Jaros-Cichoń. Całym sobą odczuwałem artystyczną atmosferę Krakowa rodem z najlepszych czasów.

Wracałem tej samej nocy. Joanna wraz z Rafałem Nowocieniem odwiedziła mnie samochodem na dworzec. Pociąg spóźnił się o godzinę. Gdyby nie śliwki w czekoladzie, które dostałem na drogę od Joasi, to bym do rana zginął z głodu.

Ten rok obfitował w spotkania. Aneta Kolańczyk oraz Iza Fietkiewicz-Paszek, znakomite poetki, zaprosiły mnie do Kalisza na Festiwal im. Wandy Karczewskiej, już po raz siódmy organizowany przez Stowarzyszenie Promocji Sztuki Łyżka Mleka. Pojechałem pociągiem. Rozbawiły mnie komunikaty w wagonie: „dojeżdżamy do stacji. Prosimy pamiętać o bagażu”. To, że pociąg dojeżdża do stacji, każdy na ogół wie. Ale do jakiej? O tym ani słowa.

Razem z Leszkiem Żulińskim prezentowaliśmy nowe książki. Leszek „Moje podróże literackie”, a ja swój jubileuszowy „Spacer do siebie”. Opowiadaliśmy o sobie, czytaliśmy utwory. Nasze wystąpienia dowcipnie – jak zwykle – podsumował Marek Wawrzkiwicz. Było sporo osób, a wśród nich... Pewnie znów ulegam halucynacjom.

Program był bardzo napięty. Prezentacje indywidualnych autorów, grup poetyckich, koncerty, spektakle teatralne. To jest dużo ciekawsze niż tylko same spotkania w szkołach czy występy wszystkich uczestników. Tu każdy może przyjść na wybrany przez siebie punkt programu. A w przerwach jest czas na spotkania towarzyskie. Cały czas trwa nieprzerwany ruch.

Potem Aneta odwiozła mnie do hotelu, co było dla mnie dużą sprawą, ponieważ czułem się zagubiony w Kaliszu niczym dziecko we mgle. To nic, że tym razem trzeźwe.

W samym końcu roku już nie będzie literackich imprez. Wszystko się wycisza. Święta, Sylwester, Nowy Rok, to wzruszające klimaty i nastroje.

Życzę Pani pogodnych, a jednocześnie pełnych ciepła i refleksji dni, i serdecznie pozdrawiam –

Stefan Jurkowski

